Nr. 318. We Lwowie Poniedziałek dnia 14. Listopada 1892. Rok XXV.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego", Plac Marjacki liczba 6 i 7.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 złr. — półrocznie 9 złr. — kwartalnie 4 złr. 50 ct. — miesięcznie 1 złr. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 centów miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 złr. — półrocznie 12 złr. — kwartalnie 6 złr. miesięcznie 2 złr.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 gr. do Francji, Anglji Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.
Numer kosztuje 6 centów.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Telefon Redakcji 171.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o 8. rano.

Chcieć, to módz!

Lwów 14. listopada.

Chcieć, to módz! — hasło owe, przyświecające jako myśl przewodnia w pracy każdej szlachetnej, indywidualnej czy zbiorowej — u nas Polaków niestety nie zbyt często znajduje zastosowanie.

Gorący do czynu, odczuwający każdą myśl szlachetną, skłonni w pierwszej chwili do poświęceń, do ofiar nadzwyczajnych, ostygamy również łatwo, spoglądamy obojętnie na upadek, zniweczenie tego, co w niedawnej przeszłości powołaliśmy do życia, zbudowaliśmy krwawym trudem, nadludzkim częstokroć wysiłkiem.

Grzechem naszym pierworodnym brak wytrwałości, i brak pracy systematycznej, cichej, w mrówczym pochodzie olbrzymie znaczącej postępy. Niejednokrotnie życie i mienie niesiono u nas w ofierze dla sprawy narodowej, ale, rzadko, bardzo rzadko niestety zdobywaliśmy się na podtrzymanie wspólnego, narodowego dzieła, choćby powszechną otoczonego sympatją i uznaniem.

Jeśli dziś przypominamy ową smutną, bo tylekrotnie fatalnemi następstwy potwierdzoną prawdę, to czynimy krok ten dlatego, by nie dopuścić do upadku, a w najlepszym razie do odroczenia *ad feliciora tempora* tak ważnej sprawy, jaką jest **fundacja imienia Tadeusza Kościuszki.**

Wszyscy w świeżej jeszcze mamy pamięci, z jakim zapałem kraj cały powitał ogłoszoną w dniu siedmnastego kwietnia r. b. odezwę inicjatorów tej wiekopomnej instytucji. Pomnimy wszyscy ową uroczystą chwilę, gdy w dniu trzeciego maja, w wielkiej sali ratuszowej, przedstawiciele wszystkich warstw społecznych naszego grodu zobowiązali się uroczyście do uwiecznienia drogiej nam pamięci ludowego wodza fundacją, mającą na celu moralne podniesienie tego ludu, który on tak gorąco ukochał i rozumiał. Wszystko zdawało się sprzyjać urzeczywistnieniu tej szlachetnej myśli. Znalazła się nawet, w pierwszej zaraz chwili, znaczna stosunkowo kwota pieniężna, co prawda w połowie zaofiarowana z magnacką hojnością przez jednego z naszych karmazynów. Wybrano jednomyślnie komitet, prezesów, delegatów, składając w ich ręce dalsze działanie. Tu koniec początku...

Sprawa w ciągu 5 miesięcy postąpiła nie wiele, jakkolwiek prasa, z wyjątkową gorliwością spełniła swój obowiązek, nawołując codziennie do czynu, do składek. Dalecy od podnoszenia na tem miejscu osobistych zarzutów, nie myślimy też wybrańców majowego zgromadzenia obwiniać o brak energji, o apatję. Wiemy aż nadto dobrze, że letnie ferje, praca gorączkowa w sejmie, w delegacjach i w radzie państwa, staje na przeszkodzie niejednokrotnie tym, którzyby najlepiej, najskładniej byli w stanie doprowadzić do końca rozpoczęte dzieło. Mimo to jednak, z tytułu służby dziennikarskiej, przypominamy komu należy, świętość przyjętych obowiązków wobec całego narodu i przestrzegamy, że niejedna myśl, najszczęśliwsza, najwznioślejsza w zasadzie, lecz spóźniona w wykonaniu — nie doprowadziła do upragnionego celu!...

Chcieć, to módz! — ale najsilniejsza wola najenergiczniejszej jednostki, nie zdoła stworzyć tego, co zdziałać może i powinna wola i praca całego społeczeństwa. Dlatego dziś już wołamy, by akcja głównego komitetu była o ile możności jawną, gdyż tylko kontrola publiczna zdoła wzmocnić zaufanie ogółu w pomyślny skutek działania komitetu. Chcemy, by akcja objęła jak najszersze koła, by na składkowej tacy, obok magnackich dukatów i mieszczańskich banknotów, znalazło się jak najwięcej centów, grosza wdowiego.

Ten grosz wdowi zadecyduje o powodzeniu całej sprawy. Nie wierzycie? Patrzcie na Czechy! Tam podatek narodowy nie w złocie, nie w srebrze, lecz w skromnej miedzi płynie do wspólnej skarbony, która starczyła i na odbudowanie narodowej świątyni sztuki i na rozliczne, patrjotyczne cele. Wytarty miedziak dokonał tam cudów!

Dlaczegoż więc i u nas nie spróbować tego środka. Społeczeństwa naszego o brak ofiarności obwiniać nie podobna, ale jesteśmy biedni, bardzo biedni. W pierwszej chwili zapału dla sprawy każdy z nas zdobędzie się na ofiarę, przechodzącą nawet jego możność. Jeśli jednak ofiara ta musi być stałą i regularną, tworzyć rodzaj dobrowolnego, narodowego podatku, to musi być przedewszystkiem niska i równa dla wszystkich, by ubogi rzemieślnik, rzucający swego groszaka do skarbony narodowej, nie potrzebował się rumienić wobec bogatszego rodaka. Myśl to nie nowa, bo w praktyce u pobratymczego narodu świetnem uwieńczona powodzeniem. Podniesiono ją w tych dniach w *Gazecie Narodowej*, my jej przyklaskujemy i poddajemy światłej rozwadze szanownych członków komitetu, wśród którego już na pierwszem ogólnem zebraniu zamiar podobny kiełkował.

Spełniamy nasz obowiązek, nawołując do pracy, przypominając wzniosłe hasło: Chcieć, to módz, gdyż wierzymy, że przy dobrej woli i wytrwałości, jeśli nie my, to nasi potomkowie korzystać będą z dobrodziejstw szlachetnej

fundacji imienia Tadeusza Kościuszki!

Bismark a Niemcy bałtyccy.

Wielce rozpowszechniony w całych Niemczech *Berliner Tageblatt* zamieszcza świeżo na naczelnem miejscu korespondencję z Londynu, której autor podaje zajmujące wyjątki z artykułu znanego publicysty i pisarza amerykańskiego, Poultney Bigelow'a — jak wiadomo, osobistego przyjaciela ces. Wilhelma — artykułu, ogłoszonego przed kilku dniami przez czasopismo londyńskie *Speaker*. W nim zawartą jest wysoce charakterystyczna rewelacja o rozmowie Bismarka z Gorczakowem w r. 1874, prowadzonej przez obu kanclerzy na temat praw językowych i kościelnego stanowiska Niemców bałtyckich. Poultney Bigelow'owi zaś opowiedzieć miał jej szczegóły świadek naoczny, pewien wysoki dygnitarz rosyjski. „W roku 1874 towarzyszył Bismark swemu cesarzowi — opowiada Bigelow i tam naturalnie zetknął się z Gorczakowem, który ze swej strony bardzo był rad usłyszeć, jak daleko może Rosja posunąć bezpiecznie swoje tępienie języka niemieckiego i protestantyzmu w prowincjach bałtyckich, nie narażając się na otwarte zerwanie z Niemcami. Mój przyjaciel (ów wspomniany dygnitarz) znajdował się wtedy w tym samym pokoju." Po tem krótkiem objaśnieniu, przytacza Bigelow następujący djalog: Gorczakow (do Bismarka): „Cóżbyście uczynili jednak, gdyby Rosja wyrugowała język niemiecki ze szkół bałtyckich i na jego miejsce rosyjski zaprowadziła?" — Bismark (wzruszając ramionami): „Idzie tu przecie o poddanych rosyjskich — a to już kompletnie wasza rzecz!" Gorcz.: „Lecz cóż powiedziałby na to cesarz Wilhelm, gdybyśmy przeciw kościołowi protestanckiemu akcję wrogą tam rozpoczęli?" — Nawiasowo należy tu dodać, że, jak wiadomo, sędziwy cesarz był niesłychanie drażliwy i czuły na punkcie protestantyzmu. — Bism. (zwolna i z naciskiem): „Gdyby język niemiecki wyrugowano z ostatniej nawet szkoły w państwie rosyjskiem i ostatni kościół protestancki zamieniono w cerkiew prawosławną, to jednak nie byłoby przenigdy w mocy naszej, podnieść przeciw temu choćby najlżejszy protest. Usta nasze są w tej kwestji bezwarunkowo zamknięte, jak długo Ks. Poznańskie i dawne prowincje francuskie w ten sposób trzymamy w rękach, jak to dziś czynimy."

W tem miejscu korespondent *Berliner Tageblatt*'u, oburzony do najwyższego stopnia taką enuncjacją byłego kanclerza, domaga się odeń, aby oświadczył publicznie, ile prawdy jest w rzeczonej rewelacji. — „Mój przyjaciel — cytowane są w dalszym ciągu korespondencji własne słowa Poultneya-Biegelowa — jest wysokim urzędnikiem sądowym w usługach cara, człowiekiem uczciwym i otwartym. Słowa jego podaję tak, jak je słyszałem; otóż wysoce charakterystycznem dla zapatrywań Bismarka, iż on w tej rozmowie swojej porównał traktowanie ludności polskiej w Prusiech i Alzatczyków na zachodniej granicy, z prześladowaniem kościoła protestanckiego w bałtyckich prowincjach"...

Na zakończenie listu wspomina korespondent, że znany interview Harden'a z Bismarkiem, zamieszczony w *Zukunft*, sprawił w Londynie wśród przebywających tam Niemców, a nawet Anglików, sprzyjających trójprzymierzu, przygnębiające wrażenie i zdumienie. Wprawdzie Anglji znają do syta i oddawna owe oryginalne zapatrywania byłego kanclerza rzeszy na Rosję, a najzagorzalsi jego zwolennicy tutejsi notabene nigdy takowych nie podzielali. Że atoli ks. Bismark radby teraz, formalnie w imieniu Niemiec, nadać Rosji prawo do opanowania Stambułu, zatem, iżby ta Rosja mogła w danej chwili ze swoją siłą zbrojną wpaść z dwóch stron — od lądu i morza — na flanki dwom członkom trójprzymierza, mianowicie Austro Węgrom i Włochom — tego istotnie nikt się nie spodziewał!... Że ks. Bismark tak samo gotów byłby może przyznać Rosji prawo do wypowiedzenia wojny Niemcom za ich postępowanie w Poznańskiem — ciągnie korespondent w świętem oburzeniu — jak o tem wyrażają się w tutejszych kołach najgorętszych zwolenników Bismarka, o tem wolę przemilczeć raczej. Zrazu nie chciano tu wierzyć raportom telegraficznym, a gdy wreszcie nadeszły egzemplarze *Zukunft*'u, wówczas zachmurzyło się niejedno oblicze w niewymownym gniewie. Bo i któżby pomyślał, że z ust niemieckiego męża stanu padną tego rodzaju enuncjacje, że on sam będzie wciskał miecz w rękę rosyjską przeciw Niemcom...

Korespondencje.

Z zaboru pruskiego 6. listopada.
(Germanizacja za pomocą germanizacji. — Nauczyciele-przybysze — Zakład głuchoniemych. — Poznanie. — Podróż ministra oświecenia).

(x. r.) „Musicie zostać Niemcami!" — słowa te ulotne, wypowiedziane po raz pierwszy w sejmie pruskim, wsiąkły niejako w krew i kości naszych germanizatorów, wychowanych w służbie Bismarka. Za jego panowania działano otwarcie, bez względu — dziś pokrywają nasi cywilizatorzy zachcianki swoje wszelkiemi możliwemi pozorami.

Próbkę takiej wilczej, w skórę jagnięcą odzianej taktyki, daje nam *Bromberger Tagblatt*, który mniej więcej takiemi słowy pokrywa działanie nieodwołalnie postanowionej germanizacji W. Ks. Poznańskiego.

„Komisja kolonizacyjna stara się przedewszystkiem wytworzyć jak najlepsze dla kolonistów stosunki kościelne i szkolne, bacząc na jak najkorzystniejsze podniesienie dobrobytu kolonistów. Jeżeli gmina kolonizacyjna jest niejako wysepką, otoczoną osadami polskiemi, natenczas przyłączoną zostaje do sąsiednich gmin kościelnych i szkolnych (niemieckich) gdzie zaś istnieje już kilka większych gmin kolonizacyjnych, tam zaraz budowane bywają szkoły, a jednocześnie i sala modlitwy (*Bethaus*). Takich szkół ewangielickich postawiono już 25. Wśród kolonistów przeważają ewangielicy nie dla tego, żeby ich więcej uwzględniano (?), ale dla tego, że katolików bardzo mało się początkowo zgłaszało (!). Dopiero później poczęli katolicy napływać, i tych komisja osadziła na osobnych granicach; jak w Biechowie, Osowie, Sławoszewie i Pieruszycach

„Lubowo i Lubówko w powiecie gnieźnieńskim, otrzymały w roku bieżącym pierwszy zbór luterski; drugi zaczęto budować w Żernikach, a trzeci ma stanąć w Wilkowie niemieckim pod Lesznem. Trudniejszą jest sprawa z kolonistami katolickimi, albowiem są oni o wiele więcej narażeni na spolszczenie i to ze strony duchowieństwa katolickiego polskiego. Większa część katolików niemieckich oddaną jest samowoli księży katolickich polskich, na co komisja kolonizacyjna żadną miarą zezwolić nie może. Z tego powodu postanowiono dla Sławoszewa i Pieruszyc zbudować kościół katolicki, w którymby nabożeństwo odprawiało się jedynie w języku niemieckim. W każdym razie rząd usilnie starać się będzie, aby rozwój kolonistów niemieckich nie ustał, a narodowość ich niemiecka była zabezpieczoną!"

Z artykułu tego przebija wyraźnie dążenie germanizatorów w dzielnicach polskich państwa pruskiego, a działają oni z wytężeniem wszelkich sił, potęgowanych przez opiekę rządu i kapitały, szczodrze na ten cel przeznaczone, na które i my się składać musimy.

Wielu z nich, jeżeli nie wszyscy, wychowani w szkołach o dążnościach stronniczych, przez nauczycieli, wykładających im dzieje sposobem naciąganym, a częstokroć i przekręcanym, jest tego zdania, że nasz kraj to *urdeutsches Land* i gwałtownem, pozorami pokrytem germanizowaniem, pragną nibyto przywrócić dawny stan rzeczy. Toż niedawno jeszcze temu b. minister Stobrecht na zebraniu liberałów w Grudziądzu wygłosił: *Deutsch ist der Boden, auf welchem wir stehen — die Kräftigung des Polonismus ist nur eine Folge einer falschen Politik unsererseits.* Niemcom ma być zatem wszystko dozwolone, bo oni są tu na „rodzinnej ziemi niemieckiej, więc my musimy zostać Niemcami. Są to atoli pogróżki, budzące nas do życia, będące zarazem dla nas zachętą do pracy na niwie narodowej.

Kiedy przed dwudziestu laty minister Falk wydał swe słynne „ogólne postanowienia", mające posłużyć naczelnym prezesom Księstwa, Prus i Szląska za podstawę do germanizacji szkoły, przez zaprowadzenie wykładu nauk w języku niemieckim — poczęto z dzielnic naszych rugować nauczycieli Polaków, przenosząc ich w dalekie prowincje zachodnie, a powołując do nas z owych prowincyj rodowitych Niemców, nie umiejących słowa po polsku, obiecując im obok kosztów przeprowadzki i wielkiej protekcji, 300 marek dodatku do zwykłych przez nauczycieli pobieranych pensyj. Jak inne środki gwałtu, tak i ten nie przyniósł żadnych dodatnich rezultatów, tak, że rząd obecny, choć wcale nam nie życzliwy, przyszedł jednakowoż do przekonania, iż nauczyciel dzieci polskich, powinien przynajmniej jako tako znać język ojczysty tychże dzieci. Może to żądanie nie zastósowane zostało do wszystkich napływowych nauczycieli, ale, że do wielkiej ich części, zwłaszcza po miasteczkach i wsiach, to pewne. Skarżą się też oni obecnie po gazetach na swój los. Czyż powoływano nas na to do Księstwa, — pisze jeden z dotkniętych — abyśmy się uczyli po polsku? Gdy się kto z nas uda do innej rejencji, aby nas do swego obwodu przyjęła, odpowiadają nam, że nie można Księstwa pozbawiać sił nauczycielskich, a niejednokrotnie dostanie mu się taka odpowiedź: „Pocóż pan poszedłeś do Księstwa?" A co to nam w seminarjum stawiano za horoskopy? Kiedy się staramy o inną, lepszą posadę, odpowiadają nam: „Czy pan umiesz po polsku?" — Zapewne było lepiej siedzieć w swej ojczyźnie, a nie łakomić się na niepewne 300 marek dodatku. Toć powinni oni byli znać i historję i literaturę własną, którąby ich była pouczyła, że murzyn po spełnieniu swej powinności może odejść. Dziś ani odejść im nie pozwalają.

Mamy tu w Księstwie trzy prowincjonalne zakłady głuchoniemych — w Poznaniu dla dzieci polskich, w Bydgoszczy i Pile dla niemieckich. Poznański zakład, to niezawodnie unikat na całym świecie; nie dość, że nieszczęśliwa dziatwa z mozołem uczy się języka, jakim ich rodzina, do której powrócą, się posługuje, męczą ją nadto nauką języka niemieckiego, który prawdopodobnie chcianoby uczynić wyłącznym przedmiotem nauki. Nie dość, że dyrektor zakładu, p. Radomski, mimo swego polskiego nazwiska jest Niemcem, obecnie powołano do zakładu tego już drugiego nauczyciela, nie znającego języka polskiego. Pierwszym z nich był niejaki Fröhlich, drugim niejaki Elias ze Szląska — pierwszy ucząc dzieci, uczy się sam dopiero języka polskiego, drugi nie włada językiem polskim w tym stopniu, iżby mógł z korzyścią dziatwę polską pouczać. A przecież w Księstwie mamy dostateczną ilość nauczycieli Polaków, którzyby odnośne posady objąć i naukę ze skutkiem wykładać mogli.

W kilku pismach niemieckich napotykamy znowu wiadomość, że minister dr. Bosse, zapowiedzianą dawniej już podróż rewizyjną po szkołach z dziećmi polskiemi na Szląsku i w Prusach zachodnich, zamierza jednakowoż odbyć, ale dopiero po zagajeniu sejmu pruskiego. Po wystąpieniu *Staatsanzeigera* przeciw *Katolikowi* jedynie za to, iż tenże polecił dozorom szkolnym przedstawić stosunki szkolne w prawdziwem świetle, iżby minister mógł poznać prawdziwe położenie rzeczy — po najnowszym artykule *Norddeutscherki* i *Schlesische Ztg.*, twierdzącym, że rewizja ministra w W. ks. Poznańskiem znalazła wszystko w należytym porządku, że jak było w szkołach, tak pozostanie, bo nie można nic zrobić, w niczem ustąpić, gdyż celem głównym szkoły jest germanizacja — nie wiemy rzeczywiście, czy zapowiedzi tej dać wiarę, a przynajmniej czy spodziewać się możemy jakiejś zmiany na lepsze. Najlepiej nie łudzić się i starać się o domowe wykształcenie dziatwy w języku polskim, czy to przez dozwoloną prywatną naukę w szkole, udzielaną przez zwykłych nauczycieli, a jeżeli to dla wielu przyczyn, głównie dla braku finansów, niemożliwe, uczyć dziatwę w domu. Już dziś minął czas, w którym zakazywano uczyć własne dzieci po polsku i wszelkiej prywatnej w tym kierunku pracy, pilnie dawniej szpiegowanej.

Stan zasiewów w Galicji wschodniej.

Pogoda w miesiącu październiku była dosyć zmienną, pierwsza połowa tego miesiąca i pierwsze dni drugiej połowy były przeważnie suche, potem nastąpił okres deszczów, które wyrodziły się w przedczesną zadymkę śnieżną, następne dnie charakteryzowały suche przymrozki, a wreszcie koniec miesiąca października i początek listopada przyniosły ładną pogodę, w ostatnich już dopiero dniach zastąpioną przez mglistą i deszczową. Przedwczesne pojawienie się przedniej straży zimowej nie zrządziło żadnej jeszcze szkody realnej z wyjątkiem tego, że okiść połamała wiele drzew leśnych i owocowych. Ci rolnicy jednak, zresztą nieliczni, którzy zwlekli z robotami jesiennemi, zostali zaalarmowani tam pojawieniem się śniegu. Gdzieniegdzie śnieg ten przeszkodził kopaniu buraków i zbiorowi kapusty, powrót jednakże ładniejszej pogody, który nie dał na siebie długo czekać, pozwolił wynagrodzić to, czego zaniedbano. Wyniki zbiorów są zadowalające. Zbiór kartofli może być uważany za wcale dobry — wykopano 33, 40, 45, 50, 60, 100, a nawet i więcej cetnarów metrycznych z morga. Wyższe wydatki są częstsze. Kukurudza dała w ogóle dobre wydatki, 6—18 cetnarów metrycznych z morga. Buraki dały również dobre rezultaty 95—180 cetnarów metrycznych z morga. Wiadomości o stanie zasiewów jesiennych brzmią pomyślnie. Rzepak bez wyjątku jest dobry, w niektórych miejscach wyborny. Pszenica jest przeważnie bardzo dobra w wielu miejscach za bujna, tak, że ją wypasają, choć wilgotny grunt nie bardzo sprzyja temu eksperymentowi. Żyto szczególniej wczesne, bardzo dobre. Koniczyny zadowalniające. Sprawozdanie niniejsze, przeważnie pomyślne, zamykamy mniej dobrą wiadomością, to jest, że pojawiły się znowu całe masy myszy, które rozpoczęły swoją niszczącą pracę. Tem sprawozdaniem kończymy szereg tegorocznych sprawozdań o stanie ziemiopłodów i zasiewów. Mamy nadzieję, że z wiosną rozpoczniemy je także pod pomyślną dla rolników wróżbą.

Z prowincji.

Brody 8. listopada. (*Nabożeństwa w dzień zaduszny. — Subwencja asanacyjna. — Wypadek w szkole izrael.*). W dzień Wszystkich Świętych wieczorem, jak co roku, tak też i w tym, odznaczał się na tutejszym cmentarzu osobliwszą dekoracją i oświetleniem grób wspólny, poległych, a pochowanych w Brodach braci z r. 1863. Młodzież tutejsza zajmuje się zawsze gorąco w tym dniu smutnym obchodem pamiątkowym i jak zwykle, wygłoszoną została mowa przez młodego akademika, z prawdziwym zapałem i miłością dla tej ziemi naszej. Dnia 7. bm. odprawiono w tutejszym kościele parafialnym nabożeństwo żałobne za poległych w r. 1863. Urządzeniem i dekoracją kościoła zajęło się stowarzyszenie rzemieślnicze „Gwiazda" i młodzież tutejsza. Pięknie odśpiewane chóry, przyczyniły się bardzo do tej uroczystości. „Sokoły" wyruszyły w strojach swoich, a szczelnie zapełniony kościół publicznością, daje dowód, że serca i pamięć dla tych bohaterów nie zastygły jeszcze u mieszkańców naszego miasta.

Przed zbliżającą się tegoroczną epidemią, czynił magistrat nasz porządki nad siły swej chorej kasy. I rzeczywiście robiono wiele, aby zapobiedz przybyciu choroby. Miasto nasze, leżące nad samą granicą państwa rosyjskiego, było w wielkiem niebezpieczeństwie. Bóg łaskaw, ochronił nas od choroby — zato kasa miejska popadła w znaczny deficyt. Przy powzięciu dotyczących uchwał, zrobiono radzie miejskiej ze strony władz rządowych nadzieję, że wydatki te zostaną częściowo pokryte subwencją rządową — a nadzieja ta była o tyle prawdopodobną, że na podstawie ustaw sanitarnych, mają miasta i wsie pograniczne prawo żądania takiej subwencji od rządu, w razie zbliżającej się epidemji. Niektóre też miasta, leżące w środku kraju, otrzymały taką zapomogę na cele asanacji, lecz nasze miasto, mimo przyrzeczenia i mimo ostatecznych wysiłków, do dziś nic nie otrzymało. Nowy burmistrz powinien w tej mierze zapobiegliwość swą okazać — i upomnąć się o dotrzymanie obietnicy u władz rządowych.

Niedawno wydarzył się smutny wypadek w szkole izraelickiej. Uczeń jeden, naśladując artystę cyrkowego, spinał się po poręczu schodowym w zabudowaniu szkolnem i spadł tak nieszczęśliwie, że nadwerężył sobie czaszkę. Nieszczęśliwego, leżącego bez przytomności, odstawiono do szpitala izraelickiego, gdzie powoli do zdrowia przychodzi. *(G.)*

KRONIKA.

Kalendarz. Poniedziałek (14.): Serafina M. Wschód słońca o godz. 7. min. 13, zachód o godz. 4. min. 16.

Redivivus. Pod Sandomierzem w pewnej wiosce wydarzył się ciekawy wypadek, który wywołał ogólną sensację. W domu pana W. po kilku dniach choroby zmarł nauczyciel. Lokaj porządkował pokój zmarłego i przez ciekawość zajrzawszy do stolika, znalazł pomiędzy innemi przedmiotami flaszeczkę z amoniakiem. Przytknął ją do nosa mniemanego nieboszczyka i tenże zbudziwszy się, usiadł na łóżku. Lokaj z przestrachu padł bez zmysłów na podłogę a nauczyciel wnet dostrzegłszy stojący na środku katafalk i czarne na sobie ubranie, domyślił się, że musiał leżeć w letargu. Pojawienie się nauczyciela tak przeraziło obecne w drugim pokoju kobiety, że jedne omdlały, a inne uciekły. Naraz dają znać, że nieobecny właściciel dóbr wraca z miasta, gdzie pojechał do przygotowania pogrzebu. Nauczyciel pospiesza na jego powitanie, ale jak go tylko zobaczył woźnica, zeskakuje z kozła, rzuca konie, które spłoszywszy się pędzą ku bramie i bryczkę druzgocą na kawałki. Rzecz cała wyjaśniła się, a nauczyciel tylko najwięcej zyskał na niesmacznym żarcie lokaja, bo uniknął pochowania żywcem w grobie.

Jeszcze o wyścigach dystansowych. Ostatni numer tygodnika berlińskiego *Sportwelt* podał o ostatnich wyścigach dystansowych artykuł, który tem większą wywołał sensację, o ile jest rzeczą prawie pewną, że wyszedł z pod pióra księcia Ernesta Günthera szlezwicko-holsztyńskiego, brata cesarzowej niemieckiej. Przypisek redakcyjny rzeczywiście zaznacza, iż rękopis nadesłany został przez „wysoko postawioną osobistość", ściśle połączoną z ostatnim wyścigiem. Książę Ernest Günther — jak wiadomo — przyjmował udział w popisie. W wywodach swych autor zwraca się przedewszystkiem przeciw „niesłusznym gderaniom" towarzystw opieki nad zwierzętami, omawia znaczenie wojskowe wyścigu, trenowanie, wyżywienie i utrzymanie konia, następnie zaś kończy: „A teraz jeszcze słów kilka, dlaczego nas Austrjacy tak doszczętnie pobili. Po stronie niemieckiej głoszono, iż puszczanie naprzód powozów dla wskazania i oświetlania w nocy drogi jest niedozwolonem. Wiedeński komitet jednak musiał być innego zdania, gdyż spotkaliśmy licznych uczestników austrjackich, którym w nocy przyświecały latarnie poprzedzających ich powozów, co naturalnie dawało możność nietylko dłuższej daleko jazdy, ale i znacznie krótszego tempa. Byłoby nader ciekawem wiedzieć, czy który z panów, cieszących się najświetniejszym rekordem, byłby takowego dopiął bez poprzedzającego go powozu, lub bicyklu. Należy tu zaraz zaznaczyć, że bicykle w nocy świetnie się spisywały, która to okoliczność w razie wojny zasługuje na uwagę. Często już obecnie wspominano, iż konie austrjackie daleko lepiej, niż nasze, kłusują w górach. Z podziwem patrzaliśmy sami, jak koledzy austrjaccy z jednaką łatwością kłusowali z góry, lub pod górę bez najlżejszej zmiany tempa. Przeciętna waga Austrjaków była o 15 kilo mniejszą od naszej. Z pewnością i po naszej stronie czyniono wszelkie możliwe wysiłki, niemniejsze, niż po austrjackiej, lecz przygotowania ostatniej były stanowczo bardziej systematyczne, a nadto panowie ci cieszyli się większem poparciem urzędowem. Częste udzielanie urlopów, oraz poparcie pieniężne ze strony korpusu oficerskiego, dostatecznie tego dowodzą. W każdym jednak razie, właśnie porażce naszej zawdzięczamy niejedno ważne doświadczenie."

Córka pułku. W *Russkim Inwalidzie* umieszczono co następuje: „Komendant, oraz grono oficerów pułku Keksholmskiego proszą wszystkich, którzy służyli od 1878 roku w pułku, o przybycie na ślub córki pułku, Marji Konstantynówny Keksholmskiej z kornetem Iziumskiego pułku dragonów Szlemmerem, mający się odbyć w dniu 4. (16.) listopada w cerkwi cytadeli Warszawsko-Aleksandrowskiej."

Kwarantana. Z Filadelfji donoszą do *Times*'a: Rząd, w obawie, iżby nie ponowiła się panika cholerycznа, naznaczył 20-dniową kwarantanę.

Wycieczka londyńskich robotników bez zajęcia. Londyńscy robotnicy bez zajęcia zebrali się dnia 9. bm. na wzgórzach Towru. Zgromadzenie, wysłuchawszy kilku mów, wyruszyło na Dorset Street przed lokal *St. James Gazette*, która o poprzedniem zebraniu napisała, że składało się ono przeważnie z leniwych włóczęgów. Wyprawiono piekielny hałas, poczem delegacja z kilku robotników udała się do redaktora *Gazetty*. Przyjęta przez niego i wysłuchawszy jego oświadczenia, że nie miał zamiaru ubliżyć robotnikom, że tylko przeciw mętom społecznym wystąpił, które chronią się pod skrzydła robotników, wróciła zadowolona i dała tłumom sygnał do odwrotu.

Żony ministrów. *Figaro* podał kilka sylwetek „pań ministrowych". Żona prezydenta Loubeta ma być okrąglutką mieszczanką, domatorką, przesiadującą najczęściej w Drôme, parlament jest jej zmorą. Ministrowa handlu, pani Roche, z pozoru znacznie młodsza od męża, celuje prostotą, mówi mało i prawie wstydzi się swych jedwabnych sukień, jakie małżonek przywozi jej z każdej wycieczki. Pani Ribot, sprawy zagraniczne, Amerykanka z pochodzenia, szatyna, wysoka, dystyngowana i niemal chłodna niekiedy, inteligencji niepospolitej, rozmiłowana w polityce. Nakoniec pani Ricard (sprawiedliwość), z rodziny urzędniczej, nie wychodzi bez swoich dam honorowych, dwóch najpiękniejszych dam sprawiedliwości, bywa często w pałacu elizejskim, daje dobre obiady, jeździ konno, ubóstwia Wagnera i Berangera, jest wierna starym przyjaciołom. Pani Freycinet, wzrostu, więcej, niż średniego, silnie zbudowana, twarz pełna, cery zdrowej, nos surowy, trochę skrzywiony, spojrzenie czasem onieśmielające pomimo chęci ujmowania. Strój najczęściej ciemny, dobrze uwydatniający wystudjowane pochylenie kibici. Prawość, surowość protestancka, łagodzona „paryżanizmem", arystokratyzm z powołania, republikanizm z obowiązku, unikanie intryg — oto jej cechy moralne.

Szczególny proces. W tych dniach przed sądem nadsekwańskim rozegrał się szczególny proces. Wierzyciele zbankrutowanej pracowni sukien damskich pod firmą pani Rodriues pozwali aktorkę dramatyczną jednego z tutejszych teatrów, pannę Malwinę Brach, o zapłacenie 6000 franków za suknie, kapelusze, mantylki, płaszcze i t. d., przez nią obstalowane w owym magazynie. Pani Malwina Brach wobec sędziów oświadczyła, że nie zapłaci, a to dla tej przyczyny, że firma Rodrigues ubierała ją od dawna za darmo, używając ją za reklamę dla swego towaru i jako agentkę, sprowadzającą jej klientów. Sąd wytoczył śledztwo, celem sprawdzenia, ażali magazyn pani Rodrigues istotnie posługiwał się pozwaną jaką reklamą i zdumiewające porobił odkrycia. Wyszło mianowicie na jaw, że nietylko panna Malwina Brach, ale także i pierwszorzędne aktorki teatrów paryskich ubierają się tanim kosztem, bo za darmo, u wielkich modniarek, którym towar w ten sposób reklamują. Wobec tego sędziowie wierzycieli panny Brach odesłali z kwitkiem.

Pożar. Wczoraj w południe wybuchł groźny pożar na Wulce w realności p. Spausty. Na miejsce pożaru wyruszyła straż ogniowa miejska, pod dowództwem p. Eliasiewicza. Ogień w krótkim czasie zdołano zlokalizować tak, że spaliła się tylko jedna szopa ze zbożem. Strata nie jest bardzo znaczna.

Z klubu urzędników poczty i telegrafu. Zapowiedziane amatorskie przedstawienie dla członków klubu, odbyło się w sobotę przed zapełnioną tak dalece salą, że audytorjum słuchaczy, którzy nie znaleźli miejsca w sali, przysłuchiwali się z bocznych apartamentów, do których drzwi otworzono. Program przedstawienia wypełniły: „Serenada z przeszkodami", „Pomyłka pana Lambineta" i „Dorota", operetka Offenbach'a. Przedstawienie wypadło bardzo dobrze, szczególnie poprawnie wykonane zostały partje wokalne.

Elegancki złodziej. Ze nasi „lwowscy bandyci" odznaczają się niezwykłym sprytem i zręcznością w wykonywaniu swych operacyj — o tem nie ośmielał się nikt powątpiewać — nieznanym był natomiast inny szczegół z życia tych panów, który wyszedł na jaw dopiero przy sposobności jednej z ostatnich kradzieży. Rzezimieszkowie nasi są także .. elegantami. Dowodem tego następujące zdarzenie z ubiegłego tygodnia. Pewnego młodego akademika okradziono, jak to powiadają, do nitki, zostało mu tylko to, co miał na sobie. Niestety miał na sobie ubranie letnie. Piękny, grubo watowany, długi po kostki paltot znikł, jak kamfora, wraz z innemi częściami garderoby. Wprawione w ruch organa policyjne, przeszukały wszystkie znane nory i kryjówki złodziejskie — jednak bez żadnego skutku. I wszystko byłoby może skończyło się na niczem, gdyby nie rozwiązujący często najzawilsze kwestje — przypadek. Jednemu z ajentów policyjnych wpadł w oko piękny, grubo watowany, po kostki długi paltot, w którym nadzwyczaj wytwornie prezentował się pewien znany i dobrze w policji notowany osobnik, wyznający nietylko w teorji, ale i praktyce zasady komunistyczne. Naturalnie aresztowano go natychmiast, akademikowi zaś zwrócono jego własność. Paltot w tym krótkim czasie nietylko nic nie stracił ze swej wartości, ale owszem, nabył nowy przymiot, którego dawniej nie posiadał. Oto na kilka kroków dokoła skradzionego i na nowo odzyskanego przedmiotu, roztaczała się woń nader miła, a tak rzadka w późnej, chłodnej jesieni — woń fiołków. Zdumiony właściciel począł dochodzić źródła tej woni i oto, co się pokazało. Wykwintny złodziej „przepadający" widocznie za wonią wiosennego kwiecia, w jednej z licznych kieszeni paltota, umieścił kowertę z fiołkowym proszkiem, którego zapach naturalnie udzielił się całemu odzieniu.

Z zazdrości. 78 letni bogaty dzierżawca Chaban w San Cesario pod Nizzą w przystępie zazdrości zastrzelił 68-letnią swą żonę, a następnie odciął jej głowę, wreszcie sam powiesił się na oknie.

Dymisja Edisona. W skutek stopniowego zaniku wynalazczych zdolności znakomitego elektrotechnika, towarzystwo, utrzymujące dotąd jego pracownię i eksploatujące jego wynalazki, ma się rozwiązać. W ten sposób słynne laboratorjum w Menloe Park, z jego ogromnym sztabem techników i trzema setkami zwykłych robotników, przestanie istnieć. Towarzystwo ma na tej zmianie oszczędzić miljon dolarów rocznie.

Z obecnej chwili. — Dlaczego budują obecnie wszystkie prawie domy z prawie poziomemi dachami?

— Żeby długi hipoteczne łatwiej mogły się na nich utrzymać.

Humorystyczny kalendarz „Śmigusa" na rok 1893, uznany jako najlepszy, nabywać mogą prenumeratorowie „Dziennika Polskiego" po zniżonej cenie **40** ct. (z przesyłką pocztową **45** ct. Nader ozdobnie wydany kalendarzyk kieszonkowy „Śmigusa" kosztuje **20** ct. (z przesyłką pocztową) **22** ct.

Wiadomości literackie i artystyczne

Repertoar teatralny. Teatr hr. Skarbka: Dziś w poniedziałek po raz pierwszy „Lirniczka z Sabaudji", operetka w 4. aktach Ludwika Varney'a; jutro we wtorek po raz drugi „Lirniczka z Sabaudji".

Z teatru. Na trzeciem z rzędu przedstawieniu „Naszych aniołów" i onegdaj na „Dziecku szczęścia" sala skarbkowska zapełniła się wcale licznie publicznością.

Co do „Naszych aniołów", dyrekcja, zachęcona tak wielkim sukcesem komedji p. Wołowskiego, postanowiła zatrzymać ją w bieżącym repertoarze, daną więc będzie w środę.

„Dziecko szczęścia" ustąpi natomiast na razie miejsca „Lirniczce z Sabaudji." Przygotowania do wystawienia tej nowej operetki są w pełnym toku. Próby orkiestrowe, pod kierownictwem p. Słomkowskiego, odbywają się od kilku dni codziennie, a reżyser pan Skalski dokłada wszelkich starań, by operetka jak najlepiej się przedstawiła. Muzyka Varnay'a obfituje w wiele dowcipnych, a nadzwyczaj zręcznie i z pewną finezją napisanych ustępów. Jednym z najbardziej udałych pod tym względem jest duet fiecisty i notarjusza, przebranych za woźniców. Duet ten wysuną nasi artyści na pierwszy plan, bo grają i śpiewają *con amore*, a gdy dodamy, że tą parą woźniców przebranych są pp. Skalski i Myszkowski, można być pewnym rzetelnego sukcesu.

Lecz i wiele innych scen śpiewnych odznaczają się tą prawdziwą werwą i komizmem, jaki cechuje autorów francuskich tego stylu, a do najlepszych zalicza się autor „Lirniczki". Dowiadujemy się również, że — jak zawsze, tak i tym razem — nowa operetka będzie pięknie wystawioną, a nawet za kulisami opowiadają sobie dziwy o kostjumach jednej z artystek, biorących udział w przedstawieniu.

Wczoraj poobiedzie ulubiony „Alibaba", wieczorem wznowiony słynny dramat „Głośna sprawa", w którym p. Żelazowski święcił prawdziwy tryumf w roli Jana Senauda.

W dalszej obsadzie znachodzimy panie Cichocką, Żelazowskę, Stachowicz, Otrembowę, Bogusławską i pp. Zboińskiego, Hierowskiego i wielu innych.

Trzecie wydanie kalendarza na rok 1893 puściło już w obieg wydawnictwo *Śmigusa*. Jeżeli zważymy krótkość czasu, w jakim to się stało i ogromną — jak na nasze stosunki — liczbę egzemplarzy każdego nakładu tego kalendarza, to rzeczywiście przyznać trzeba, że fakt ten, nawet w dziedzinie wydawnictw tak popularnych, jak kalendarze, zapisać należy do niezwykłych i bądź co bądź bardzo chlubnie świadczy on o staranności i sumienności redakcji doskonałego tego dwutygodnika humorystycznego.

Ostatnie wiadomości.

O odwidzinach w. ks. Sergiusza u papieża, podają angielskie dzienniki niektóre szczegóły. Wielki książę oświadczył na wstępie, że jest to dawnym zwyczajem, iż członkowie rosyjskiej panującej rodziny, bawiący w Rzymie, składali należne hołdy głowie katolickiego chrześcjaństwa i że jego przybycie nastąpiło w porozumieniu z carem. Papież podziękował, przypomniał inne odwidziny członków carskiej rodziny i podniósł, że stosunki rosyjskiego rządu z Watykanem dawniej bardzo zamącone, obecnie się poprawiły. Obie strony rozumieją wartość pokoju i zgody. Następnie toczyła się przez przeszło półgodziny ożywiona potoczna rozmowa, a przy pożegnaniu, wyraził papież nadzieję, że bytność w. księcia w Watykanie przyniesie dobre owoce i polecił katolików, w Rosji mieszkających, względom cara. Wielki książę odpowiedział, że powtórzy życzenia papieża carowi, który niewątpliwie chętnie im zadość uczyni.

Wedle *Berliner Tageblattu* nie uchwaliła rada związkowa także na posiedzeniu swem d. 11. bm. przedłożenia wojskowego, rzekomo dla tego, ponieważ Bawarja przyzwolenie swe obiecała dać dopiero, gdy nastąpi porozumienie co do kosztów. O ocleniu niemieckiego wina musującego nie ma już mowy.

Matin donosi, iż preliminarz traktatu przymierza francusko rosyjskiego, zmieniony cokolwiek ze strony Rosji, przeszłej soboty został podpisany.

Rada państwa.

Telegramy „Dziennika Polskiego."

Wiedeń 13. listopada (*Z izby posłów*). Pod koniec wczorajszego posiedzenia prezydent Smołka dając wyraz oburzeniu z powodu interpelacji Schlesingera, oświadczył, że byłby jej niedopuścił, gdyby ją był poprzednio przeczytał.

Fuss oświadczył imieniem niemieckich narodowców i Pattai'a, że podpisali interpelację, nie czytając jej wcale i że nigdy nie znajdą się na przyszłość ich nazwiska na żadnej interpelacji Schlesinger'a.

Schlesinger usiłował bronić się, ale przekrzyczano go i nie dopuszczono do głosu wśród ogólnego oburzenia izby.

Następne posiedzenie we środę.

Telegramy „Dziennika Polskiego"

Wiedeń 13. listopada. O godzinie pół do 9 wieczorem, dnia wczorajszego przybył rosyjski następca tronu. Na peronie oczekiwał go cesarz, arcyksiążę Karol Ludwik i inni arcyksiążęta. Powitanie było demonstracyjnie serdeczne. Cesarz uściskał i ucałował w. księcia kilkakrotnie, a publiczność wznosiła na cześć gościa okrzyki: „*Hoch!*" „*Na zdar!*" i „*Żiwio!*"

Berlin 13. listopada. Jako następcę jenerała Schweinitz'a na stanowisku ambasadora w Petersburgu, wymieniają obecnie jen. Villaume'a, b. niemieckiego pełnomocnika wojskowego w Petersburgu.

Londyn 13 listopada. *Times* widzą w wyborze Clevelanda stanowczą wolę narodu, by bil Mac Kinleya zmienić. *Standard* przepowiada wewnętrzną walkę o system cłowy. *Daily Chronicle* konstatuje postęp w kierunku swobodnego handlu. *Morningpost* zaprzecza, jakoby rezultat wyborczy mógł wpłynąć na zmianę systemu ceł ochronnych

Paryż 13. listopada. Bankier Monroe wypłacił na ręce Mac Carthego fundusz, złożony swojego czasu na ubogich dzierżawców irlandzkich.

Rzym 13. listopada. W konsystorzu, który ma się odbyć z końcem roku, będą kreowani kardynałami arcybiskup Kolonji i arcybiskup Wrocławia.

Wiedeń 13. listopada. Wczoraj o godzinie 5. po południu notowano na giełdzie: Kredyty 314·20; länderbanki 225·30; sztaobany 293·92; renta majowa 97·00; węg. renta złota 113·95.

Przyjechali do Lwowa

dnia 12 listopada 1892 r.

HOTEL ŻORZA. M. Małachowski ze Strzałek. S. Staromiejski z Ustrobna. A. Cielecki z Porchowy. S. Tworkowski z Kowenic. A. Pieńczykowski ze Strychania. B. Wolfarth ze Słobody rung. J. Philipp, S. Landau, E. Jakobiewicz z Wiednia.

HOTEL FRANCUSKI. Hr. S. Jabłonowski z Pokowca. M. Ador z Jazowska. H. Harrich, H. Schartelmüller z Wiednia. L. Skawiński z Jarosławia. I. Doskocz z Węgier.

HOTEL SZWAJCARKI. I. Smalnicki z Kałusza. I. Nowak ze stryja. W. Karpiński z Kołomyi. Z. Drozdowski z Mielca. R. Dudzik z Brzozowa.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Doniesienie nadzwyczajne wydawnictwa „Biblioteki wyborowych Powieści i Romansów".

TEATR HR. SKARBKA

DZIŚ:
Po raz pierwszy

Lirniczka z Sabaudji

operetka w 4 aktach A. Liorata, W. Busnacha i A. Fonteny. Muzyka Ludwika Varnay'a.

OSOBY:

Javota, córka Fanchony	Pani Klissewska
Bellavoine, notarjusz	Pan Skalski
Hermina, tegoż żona	Pani Radwan
Zefiryn, flecista	Pan Myszkowski
Grenouillot, sabaudczyk	Pan Kitschman
Jacqnott, jego syn	Pan Jerzyna
Kawaler de Saint-Florent	Pan Gasiński
Juljusz, pisarz u notarjusza	Pan Olszański
Justyna, pokojówka u notarj.	Pani Kasprowiez
August, kelner	Pan Taborski
Józef, stangret	Pan Laskowski
Chalumeau, fiakier	Pan Łomiński
Małgosia, lirniczka	Panna Flach
Teresa, lirniczka	Panna Hendrich
Dama	Pani Czerska
Gość I.	Pan Gamski
Gość II.	Pan Chudkowski
Wieśniak sabaudzki	Pan Kowalski

Sabaudczycy, Sabaudki, pisarze, pokojówki, przekupnie, sędzy, goście, tragarzy, policjanci.

Rzecz dzieje się w Paryżu w r. 1798.

Jutro po raz drugi: „Lirniczka z Sabaudji", operetka w 4. aktach A. Liorata, W. Busnacha i A. Fonteny. Muzyka Ludwika Varnay'a.

Wydawca: Józef Laskownicki. Odpowiedzialny za redakcję Adam Krajewski. Papier z fabryki czerlańskiej. Z Drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Franciszka Kąttnera.